

Chciwość budzi uśpiony koszmar...

powieść grozy

PODZIEMNE MIASTO

ŁUKASZ HENEL

VIDEOGRAF

Łukasz Henel "Podziemne miasto"

Jagna Rolska



Łukasz Henel

Podziemne miasto

Videograf 2015

cena: 29,90

stron: 256

W okolicy Międzyrzecza znajduje się owiana legendą sieć ponemieckich bunkrów. Przesłany do bazy stacjonujących w regionie wojsk radzieckich oddział NKWD próbuje zbadać ich wnętrza. Pozostawieni na straży dwaj rosyjscy wartownicy giną w dramatycznych okolicznościach, jakby rozszarpani przez nadnaturalną siłę. Odpowiedzialni za ochronę bunkrów polscy oficerowie, którzy znaleźli w jednym z korytarzy dziwny sarkofag i potężną figurę, są przeciwni dalszej penetracji tego obszaru. Tymczasem w okolicy dochodzi do dziwnych pożarów i wszystko wskazuje na to, że rosyjscy żołnierze obudzili uśpione w podziemiach zło...

Łukasz Henel - autor książek o filozofii dla młodzieży oraz powieści grozy "On" (Videograf, 2013) i "Szkarałatny blask" (Zysk i S-ka, 2014).

Zapraszamy do lektury fragmentu powieści:

7.

Okolice Kęszycy Leśnej,

czwartek 25 kwietnia 1957 roku, godzina 23.30

Andrzej z rosnącą niecierpliwością wyczekiwał powrotu swojego towarzysza. Dziwne podziemia działały mu na nerwy. W życiu widział wiele bunkrów, ukrytych korytarzy, a jednak te wydawały się

inne niż wszystkie. Czuwał przy samym wejściu do tajemniczego rozległego pomieszczenia, zięjącego nieprzeniknioną ciemnością, wilgocią i chłodem. Marzył coraz bardziej i nasłuchiwał czujnie. Do jego uszu dobiegał skądś monotonny odgłos kapiącej wody. Kilka razy gdzieś z głębokich otchłani dotarł przytłumiony szczeł, jakby uruchamiała się jakaś wielka maszyneria. Światło latarki przygasalo z każdą chwilą, lada moment bateria całkiem się wyczerpie. Popukał w nią dłonią, rozbłysła na nowo, lecz świeciła już zdecydowanie słabiej. „Gdzie, u diabła, jest Dymitr? Dlaczego powrót zabiera mu aż tyle czasu?”. Ciemność niemal napierała na niego, spowijając ciasnym kokonem.

W jego myśli z wolna zaczęła wkradać się podejrzliwość. KGB było organizacją, w której wielu ludzi prowadziło swoją własną grę, szczególnie tych pełniących ważniejsze funkcje. To było coś w rodzaju państwa w państwie, rządzącego się własnymi, bezwzględными regułami gry. Właściwie cała armia radziecka funkcjonowała w ten sposób. Los zwykłego żołnierza nie miał w niej żadnego znaczenia. W czasie wojny dowódcy prześcigali się, współzawodniczyli w wyścigu o honory i bogactwa. Oficjalnie mówiło się o walce z faszyzmem, w istocie chodziło o zagarnięcie jak największych połaci ziemi i wyprzedzenie aliantów. Wystarczyło wspomnieć Berlińską Strategiczną Operację Ofensywną, czyli wielką bitwę o Berlin. Andriej nie brał w niej bezpośredniego udziału, ale jako młody agent NKWD zabezpieczał tyły i tropił zdrajców. Również tych spośród Polaków, mających coś wspólnego ze współpracującą z Londynem Armią Krajową. Wiedział jednak sporo. Dwa fronty radzieckie zaatakowały Berlin, miażdżąc bezlitośnie zuchwały, lecz jednocześnie straceńczy zapal broniących miasta młodzików z Hitlerjugend i ochotników Volkssturmu. Na gruzach dogorywającego miasta spotkały się dwie armie, Front Białoruski Żukowa i Front Ukraiński pod dowództwem Koniewa. Noc była jasna jak dzień od wybuchających bomb, granatów i rakiet. Obydwaj dowódcy współzawodniczyli ze sobą zaciekle, spodziewając się zagarnąć bajeczne skarby Trzeciej Rzeszy, największe bogactwa jakie kiedykolwiek zgromadziła ludzkość. Kiedy opór niemiecki został przełamany, współzawodnictwo przerodziło się w otwartą walkę między samymi Rosjanami, padły strzały i zabici po obu stronach. Rosjanie grabili wszystko, co popadło. Przerażeni żołnierze niemieccy uciekali w panice, chcąc poddać się aliantom, lecz nie im.

Andriejowi imponował taki sposób działania. Podobała mu się bezwzględna siła. Strach i terror to najlepsze narzędzia kontrolowania ludzi, również swoich własnych. Teraz jednak zaświtała mu w głowie myśl, że i sam mógłby paść ofiarą takiej gry, stać się jednym z pionków przemielenych przez bezwzględne mechanizmy KGB. Po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że jest jedynie narzędziem w rękach Ulianowa.

„Kto wie, może Dymitra nie ma tak długo, bo dowódca przekazuje mu jakieś sekretne rozkazy? Do diabła z tym wszystkim — pomyślał. — W takich sprawach korzyść odnoszą jedynie oficerowie, inni zaś sprowadzeni zostają do roli mięsa armatniego”.

Chuchnął w dłonie. Z namaszczeniem skręcił i zapalił papierosa. Dobry radziecki tytoń. Zaczął rozmyślać, co też może kryć się w podziemiach. Ulianow pozostawił go na straży, przykazał, że ma pilnie strzec wyjścia. Powiedział „wyjścia”. Zwykle przejęzyczenie, czy może coś więcej? Co właściwie miałyby nie wyjść z tych mrocznych katakumb? Dlaczego Ulianow, doświadczony i pozbawiony, zdawałoby się, lęku oficer KGB, strzelał?

Poruszył się niespokojnie. Od dłuższego już czasu siedział nieruchomo na sporym fragmencie muru, wyrwanym ze ściany energią wybuchu, i ścierpł porządnie. Wydobył z kabury pistolet i począł się nim bawić. Uspokajało go to. Nigdy nie wiadomo, gdzie kryje się niebezpieczeństwo, lepiej mieć broń w pogotowiu. Dotyk zimnego metalu i ciężar w dłoni, dodawały pewności siebie. Już niedługo, spokojnie. Zaraz wróci Dymitr, przyniesie latarki, ciepłe koce, jedzenie i... pewnie nawet przemyci coś mocniejszego. Po kilku godzinach, zapewne nad ranem, ktoś przyjdzie ich zmienić. W zamyśleniu potarł zapalną o draskę i obserwował, jak dogorywa płomień.

Nagle posłyszał jakiś przytłumiony stukot, dobiegający z wielkiego pomieszczenia po drugiej stronie, tego, w którym wcześniej strzelał Ulianow. Mogło to być cokolwiek, jednak w bunkrach takich jak ten, gdzie nie ma wiatru, każdy dźwięk może świadczyć o czyjejs obecności. Z doświadczenia wiedział, że szczury stosunkowo niechętnie zapuszczają się aż tak głęboko, więc to chyba raczej żaden z nich. Ścisnął mocniej kolbę pistoletu i wyteżył słuch.

Cichy plusk wody. Ktoś mógł ukrywać się w podziemiach. Może członkowie jakiejś uzbrojonej formacji? Władza radziecka miała przecież na tych ziemiach swoich ukrytych wrogów i dywersantów. Do bunkrów mogło jeszcze prowadzić jakieś inne wejście. Zgasił latarkę. Przeciwnik zawsze strzela w światło latarki.

Opadła na niego jak gdyby nieprzenikniona kurtyna czerni, niemal poczuł jej aksamitny dotyk na swojej twarzy. Tam, gdzie nie ma żadnego źródła światła, oczy nie mogą przyzwyczać się do ciemności. Stał się więc niczym ślepiec.

Cicho, po omacku, podpełzł do wyrwy w murze, wyczuwając pod dłońmi fragmenty chłodnego, wilgotnego betonu. Tak, nie było wątpliwości, znów posłyszał jakiś szelest, jakby czegoś ocierającego się o mur, gdzieś tam w głębi, a jednocześnie jakby bliżej. Poczul, jak poci mu się dłoń, w której trzymał makarowa. Wreszcie do jego uszu dotarł jakiś dźwięk przypominający najcichszy szept. Żadną miarą nie dałoby się rozróżnić słów. Zastanawiał się, co robić dalej. Serce mu przyśpieszyło. Jego wyobraźnię zaczynał opanowywać zabobonny lęk, którego istnienia nigdy by u siebie nie podejrzewał. Przypominał sobie stare ludowe bajdy, opowiadane niegdyś przez prababkę, o duchach i zjawach, które zamieszkują opuszczone podziemia. Duchy zmarłych, które nigdy nie odnalazły drogi do innego świata, ponieważ pozostawiły tu na ziemi swoje niedokończone sprawy lub rozstały się z życiem w tragicznych okolicznościach. Powracały nieraz, żądne zemsty i wrogo nastawione do żywych. Nie mógł opanować tych myśli, chociaż był jednocześnie głęboko przekonany, że duchy nie istnieją. Był przecież świadkiem śmierci wielu ludzi, niektórzy z nich zginęli z jego własnej ręki, a nigdy nie ujrzał wypływającej z ciała jakiegokolwiek duszy. Wszystko to więc jedynie zabobony i przesady świata, w którym rozum i technika nie wygrały jeszcze ostatecznej bitwy o ludzkie myślenie.

Przelazł ostrożnie na drugą stronę wyrwy w murze. Odczuwał lęk, lecz jako wyszkolony żołnierz potrafił nad nim panować. Nie mógł tak po prostu uciec, pokazać się na oczy Ulianowowi i opowiedzieć o dziwnych dźwiękach dobiegających z zagadkowego pomieszczenia. Za coś takiego groziła kula w łeb, a w najlepszym wypadku „psychuszka”, czyli zakład dla obłąkanych. Taki, w którym polewają człowieka lodowatą wodą i podłączają do prądu... nazywając to ładnie elektrowstrząsami. Bądź co bądź, opuszczenie posterunku bez zgody dowódcy jest formą dezercji. Należało zatem wykonać rozpoznanie, zidentyfikować ewentualnego przeciwnika, ocenić swoje i jego szanse, a dopiero potem wycofać się lub podjąć walkę. Tego nauczyli go w KGB. Szkoda tylko, że został zupełnie sam.

Poruszając się w absolutnej ciemności, postąpił kilka kroków naprzód. Gdzieś tu zaczynał się kanał z wodą, nie mógł więc po ciemku iść dalej. Postanowił na powrót zapalić latarkę, lecz trzymać ją w wyciągniętej ręce możliwie jak najdalej od siebie, tak, by nie ułatwić zadania potencjalnemu strzelcowi. Przesunął włącznik. Żaróweczka rozjarzyła się na krótką chwilę nikłym pomarańczowym światłem i przygasła całkowicie, jakby jakaś siła wyssała z niej całe światło. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Mimo to przez tę krótką chwilę Andriej kątem oka coś spostrzegł. Coś, co bardzo mu się nie spodobało. Potężną postać, stojącą nieruchomo, znajdującą się nie więcej niż kilka metrów o niego samego. W panice cofnął się kilka kroków, na oślep mierząc przed siebie z broni.

— Kto tu jest? — zapytał nieswoim głosem.

Zamiast odpowiedzi znów posłyszał przypominający szelest suchych liści szept. A może nie był to wcale szept? Teraz dziwny dźwięk skojarzył mu się z cichym skwierczeniem, jakie czasem wydają płonące w ognisku szczapy drewna. Na twarzy wyczuł powiew wiatru. Poczł zapach, niezwykle, zaskakujący, nieprzyjemny, ale w pewien sposób jednocześnie fascynujący, dziki, nieokiełznany, wręcz seksualnie podniecający; tak muszą pachnieć spalone wsie, gdy wiatr roznosi dymy po bezkresnych pustkowiach.

Szelest. Kimkolwiek był ten, kto znajdował się w ciemnościach, stał tuż obok niego. W panice pociągnął za spust. Raz, dwa, trzy... odrzut szarpał jego ramieniem, wyrzucane łuski z brzdękiem opadały na kamienną podłogę. Osiem strzałów w różne strony, osiem naboł wystrzelonych i wreszcie cichy trzask iglicy. Komora była pusta. Dałby wszystko, by posłyszeć jakiś okrzyk bólu, jakiś zduszony jęk, chrapliwe wołanie o pomoc. Miałby wówczas pewność, że dopadł czającego się przeciwnika. Nic takiego nie nastąpiło.

Nagle z przerażeniem poczuł, że coś pochwyciło go za gardło i unosi w górę z nieubłaganą siłą. Machał nogami w powietrzu, starając się znaleźć jakieś oparcie lub kopnąć swojego niewidzialnego oprawcę. Usiłował zaczerpnąć powietrza i krzyżeć, choć czuł, że jest to bezcelowe. Posłyszał jedynie swój własny przedśmiertny charkot. Coś ciepłego i lepkiego zaczęło spływać po jego ciele i zdał sobie sprawę, że krwawi. Zdobył się jeszcze na jeden desperacki wysiłek, zamachnął się trzymającą pistolet ręką, ta jednak przecięła jedynie powietrze. Posłyszał cichy trzask i uświadił sobie, że właśnie pękły jego kręgi szyjne. W ostatnim przeblasku życia poczuł wbijające się w jego ciało ostre jak brzytwy kły i chciwy język zlizujący łapczywie jego własną krew. To coś było głodne, bardzo głodne, niezwykle spragnione. Włokło go ze sobą do swojego siedliska.

Gdyby nie paskudna przygoda na leśnej drodze, Dymitr byłby na miejscu znacznie wcześniej. Tutejsze leśne trakty, wyłożone kamieniami, dobre były może dla czołgów, ale nie zawsze dla motocykla z przyczepą, na którym agent KGB wyruszył w drogę do bunkra. Szczególnie po zmroku jazda nie była bezpieczna. Może gdyby trzymał się głównego traktu, nie doszłoby do awarii, a jednak niepotrzebnie postanowił skrócić nieco trasę, wjeżdżając w rzadziej uczęszczaną odnogę wiodącą przez szpaler starych, suchych sosen, przypominających z daleka okutanych w czarne oponcze zbłąkanych pielgrzymów. Jechał jak zwykle dość brawurowo, nie biorąc pod uwagę ciemności, stanowczo częściej korzystając z gazu niż z hamulca. Może gdyby był bardziej ostrożny, zauważyłby sporą wyrwę w ziemi i obłamany, spoczywający na ziemi konar drzewa. Motocykl z impetem uderzył w przeszkodę, odrzucił ją, silnik jednak zgasł i nie dało się go z powrotem uruchomić. Dobre kilka godzin grzebał i dłubał przy gaźniku, przyświecając sobie przygasającą latarką i klnąc pod nosem, kiedy wreszcie udało mu się ruszyć w dalszą drogę. Zgodnie z poleceniami Ulianowa mieli pełnić straż aż do świtu, do przybycia kolejnej zmiany warty.

Gdy dotarł na miejsce, zaparkował swój pojazd tuż przy wejściu do bunkra, zabrał wszystkie potrzebne rzeczy i zszedł do podziemi. Na horyzoncie bledły już gwiazdy. Po pokonaniu długich korytarzy i szeregu, zdawałoby się, niezliczonych prowadzących w dół krętych schodów doszedł wreszcie do miejsca, w którym straż miał pełnić Andriej. Spodziewał się ujrzeć blask należącej do niego latarki, lecz powitała go zupełna ciemność i głucha cisza. Nie zaskoczyło go to jednak specjalnie, pomyślał, że zapewne Andriej świadomie ją wyłączył lub po prostu wyczerpała się bateria. To było zupełnie prawdopodobne. Rozmyślał raczej nad czymś innym; obawiał się konsekwencji ze strony Ulianowa, choć przecie awaria motocykla nie nastąpiła z jego winy. W każdym razie nie do końca. Miał nadzieję, że Andriej zachowa sprawę spóźnienia dla siebie. Da mu paczkę dobrych papierosów w zamian za tę dyskrecję.

Kiedy jednak dotarł do wyrwy w murze, nie zobaczył nigdzie swojego współtowarzysza. Rzucił

pakunek z kocami na ziemię i rozejrzał się uważnie. Czyżby Andriej samowolnie oddalił się z posterunku? Postanowił zbadać podziemia na własną rękę? Z pewnością nie mieściło się to w ramach przyjętych zasad postępowania. Niemniej to nawet dobrze, jeśli Andriej miałby zamiar donieść Ulianowowi o jego wielogodzinnym spóźnieniu, to i on sam będzie miał małego asa w rękawie. Postanowił usiąść na kamieniu i czekać na powrót towarzysza. Czerniejąca wyrwa w murze coraz mocniej przyciągała jego uwagę. Czy to możliwe, by Andriej tam poszedł? A jeśli tak, to w jakim celu? To oczywiste, że w podziemiach, ukrytych i zamurowanych tak jak te, które właśnie odkryli, mogły kryć się skarby. Hitlerowcy, opuszczając te ziemie, wciąż liczyli na szybki powrót. Nie opłacało się wozić ze sobą wielkich bogactw, skrzyń ze złotem, kosztownościami lub dziełami sztuki. Może Andrieja skusiła wizja szybkiego wzbogacenia się? Może już teraz napełniał swoje kieszenie bezcennymi diamentami?

Postanowił wstrzymać się jeszcze kwadrans, a potem pójść na poszukiwanie współtowarzysza. Przynajmniej miał dobry pretekst, by przekonać się dokładniej, co kryło wielkie tajemnicze pomieszczenie po drugiej stronie. Odczekał dziesięć minut, zerkając co chwilę na swój nakręcany zegarek z fosforyzującymi w ciemności wskazówkami. W końcu wstał, za pasek wetknął dodatkową, zapasową latarkę, na ramię zarzucił pepeszę i przyświecając sobie, przeszedł przez wyłom w murze. Szedł pewnie, a jasny snop elektrycznego światła dodawał mu otuchy. Skierował go nawet ku górze, by sprawdzić, jak wysoko może znajdować się sklepienie.

— Będzie chyba co najmniej z piętnaście metrów, a może więcej — mruknął sam do siebie. — Zresztą diabli wiedzą...

Szedł dość śmiało i dotarł w ten sposób do pierwszego wypełnionego czarną, nieprzejrzystą wodą kanału. Miał on parę metrów szerokości. Nawet najmniejsza zmarszczka nie pojawiała się na tej przypominającej ciemne zwierciadło tafli. Światło latarki kładło się na niej zwartym snopem i spoczywało nieruchomo. „Martwa woda” — przemknęło mu przez myśl. Przez chwilę zastanawiał się, czy jednak nie wrócić. Kto wie, co kryły podziemia, co znajdowało się jeszcze dalej, za tym dziwnym mauzoleum, za tym pomieszczeniem pełnym ciszy i nieprzeniknionej ciemności. Przypomniał sobie naraz, jak pewnego razu, za młodziaka, wszedł do starej cerkwi, opuszczonej i mającej stać się niebawem magazynem zboża. Część ołtarza rozwalono, po podłodze wały się resztki ławek. Ikony rozkradziono lub spalono w ognisku. Wówczas, stojąc pośrodku tej zniszczonej, zbezczeszczonej świątyni uczuł nagle, że nie jest w niej sam. Doświadczył wrażenia czyjejś obecności i z przestachem obejrzał się przez ramię. Tutaj to uczucie powróciło, ale jeszcze silniejsze. Coś tu było, oprócz niego, nie Andriej, ale ktoś inny. Ktoś mu się przyglądał, tak... był tego właściwie pewien.

Chciał zawołać swojego towarzysza po imieniu, instynkt jednak nakazał mu milczeć.

Wtem przez moment ujrzał czyjąś sylwetkę, zdającą się tkwić nieruchomo jakies kilkanaście metrów od niego. Czarną postać ledwie odcinającą się konturem na tle ciemności.

— Andriej? — zawołał niezbyt głośno.

Jednocześnie jego dłoń automatycznie powędrowała do przewieszanej przez ramię pepeszy. To była dobra broń, bębnekowy magazynek mieścił siedemdziesiąt jeden nabo i zapewniał huraganową siłę ognia przy względnie dobrej celności na krótki dystans. Jeśli tylko zacznie w porę strzelać, poradzi sobie z każdym napastnikiem. Wetknął latarkę za pas, ujął karabin oburącz i ostrożnie ruszył przed siebie. Mrok rozstępował się przed nim z wolna i niechętnie. Wojskowe buty szurały cicho na kamiennej powierzchni. Cień, który dostrzegł uprzednio, gdzieś zniknął, przed nim nie było nikogo. Może uległ przywidzeniu?

„A jeśli to Andriej? Jeśli znalazł jakieś kosztowności i teraz czai się gdzieś w ciemności z ostrym jak brzytwa wojskowym bagnetem w ręce, chcąc się go pozbyć? Może wpadł na trop czegoś wartościowego i pragnie tę wiedzę zachować tylko dla siebie? Należy być ostrożnym” — pomyślał Dymitr.

Wędrował nadal brzegiem wąskiego zbiornika wodnego, który zagradzał mu drogę. Zdał sobie już sprawę, że porusza się po okręgu. Nagle dojrzał przejście przez kanał, szerokie na jakieś dwa metry. Postanowił iść dalej. Istniała również taka możliwość, że Andriej dotarł tutaj, a następnie wpadł do kanału i utonął. Wydawało się to w zasadzie mało prawdopodobne, ponieważ jak wszyscy agenci KGB dobrze pływał. Jednak pod zdradliwą tonią wody coś mogło się kryć — zwoje drutu kolczastego, ustawione na sztorc zaostrome stalowe pręty czy wreszcie miny. Andriej mógł zwyczajnie wpaść w tego typu pułapkę.

Wokoło panował coraz większy ziąb, tak że Dymitr mógł dostrzec delikatną chmurkę własnego oddechu. Pokonał betonowy pomost, przeszedł kilkadziesiąt metrów i natknął się na kolejny kanał. Szedł dalej jego brzegiem, wciąż trzymając pewnie broń i czujnie rozglądając się na boki. Był coraz bardziej zdumiony rozmiarami pomieszczenia. Kolejny pomost. Zaczął już rozumieć nieco logikę i rozkład tego wielkiego podziemnego mauzoleum. Prawie na pewno miało ono kształt koła oraz potężne, okrągłe betonowe sklepienie. W podłodze znajdowały się kanały, mające również kształt okręgów, o coraz mniejszej średnicy. Każdy z okręgów znajdował się wewnątrz drugiego, a połączenia prowadziły przez umieszczone w różnych miejscach pomosty. „Licho wie w takim razie... — pomyślał — co znajduje się w samym środku, w kole centralnym”.

Chęć poznania tajemnicy podziemnej budowli i ciekawość tak bardzo nim zawładnęły, że parę naprzód, mała zważając już na niebezpieczeństwo. Podejrzał, że w samym środku koncentrycznych kół, tworzonych przez wodne kanały, może znajdować się coś bardzo cennego. Aby nieco dodać sobie pewności, przewiesił na moment pepesz przez ramię, wydobył z kieszeni papierosa i zapalił go lekko drżącymi dłońmi, zaciągając się głęboko. Ognik rozjarzył się w ciemności.

W końcu światło jego latarki wydobyło zarys dużego sześcianu wykonanego z czarnego, lśniącego kamienia. Miał dobre półtora metra wysokości i jakieś cztery metry długości, przy słabym świetle trudno było jednak dokładnie oszacować wymiary bryły. Przywodziła na myśl ołtarz z granitu bądź starożytną arkę. Cechowała go niespotykana jak na surową niemiecką estetykę szczegółowość detali. W nikłym elektrycznym blasku lśniły skomplikowane motywy ić tak bardzo nim zawładnęły, że parę naprzód, mała zważając już na niebezpieczeństwo. Podejrzał, że w samym środku koncentrycznych kół, tworzonych przez wodne kanały, może znajdować się coś bardzo cennego. Aby nieco dodać sobie pewności, przewiesił na moment pepesz przez ramię, wydobył z kieszeni papierosa i zapalił go lekko drżącymi dłońmi, zaciągając się głęboko. Ognik rozjarzył się w ciemności.

W końcu światło jego latarki wydobyło zarys dużego sześcianu wykonanego z czarnego, lśniącego kamienia. Miał dobre półtora metra wysokości i jakieś cztery metry długości, przy słabym świetle trudno było jednak dokładnie oszacować wymiary bryły. Przywodziła na myśl ołtarz z granitu bądź starożytną arkę. Cechowała go niespotykana jak na surową niemiecką estetykę szczegółowość detali. W nikłym elektrycznym blasku lśniły skomplikowane motywy i ornamenty roślinne. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł płaskorzeźby przedstawiające mitologiczne stworzenia, bestie, bóstwa, demony i hybrydy, które jemu samemu kojarzyły się z rycinami, jakie niegdyś ujrzał w starym podręczniku do historii, w rozdziale mówiącym o kulturze Azteków. W tym galimatiasie zdobień dało się zauważyć wszechobecne symbole swastyki.

Dymitr jednak nie był archeologiem czy znawcą dawnych kultów. W pierwszej kolejności pomyślał

o skarbach. Była to myśl niezbyt rozsądna, bowiem trudno było przypuszczać, by hitlerowcy ukryli cenne wojenne łupy w taki sposób, na widoku i w samym centrum wielkiego, kolistego pomieszczenia. A więc co to? Grobowiec? To skojarzenie wydało mu się najbardziej trafne. Niemieckie mauzolea nie należały do rzadkości. Grzebano w nich wielkich przywódców i bohaterów. Wystarczyło wspomnieć znane Mauzoleum Hindenburga, które istniało aż do końca wojny, między Olsztynkiem i Sudwą. Być może w tym przypadku zetknął się z czymś podobnym. Jednak również myśl, że ktokolwiek mógł zostać tu pochowany, w podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, wydawała się zaskakująca. Powszechnie przecież uważano, że został on stworzony przede wszystkim do zadań militarnych.

Dotknął ręką sarkofagu i cofnął ją z obrzydzeniem. Był wilgotny, przeraźliwie zimny i w pewien szczególny sposób nieprzyjemny. Odniosłby podobne wrażenie, dotykając jadowitego węża lub tarantuli. Nagle spostrzegł, że pokrywa grobowca była lekko uchylona. Przez plecy przebiegł mu mimowolny nieprzyjemny dreszcz. Zaraz jednak stłumił w sobie uczucie lęku. W starożytnych kulturach władców często chowano w otoczeniu cennych przedmiotów. Zwyczaj ten dotyczył królów i wodzów, a także wsławionych na polach bitew wojowników. Bezcenne klejnoty, złote monety, drogie kamienie — to wszystko umieszczano nieraz w sarkofagach, aby zmarły, przechodząc na drugą stronę rzeki zapomnienia, nie musiał cierpieć biedy. Nie można było wykluczyć, a nawet wydawało się to całkiem prawdopodobne, że podobny zwyczaj mógł dotyczyć także miejsc pochówku wysokich rangą hitlerowskich dostojników.

Oczywiście grobowiec mógł być po prostu pusty i przygotowany dopiero na przyjęcie zwłok oraz umieszczenie w nim kosztowności. Uwagę Dymitra przykuł niezwykle wizerunek znajdujący się na ciężkiej pokrywie. Było to jakieś bóstwo, jakby kobiece, choć rysy jego twarzy wydawały się nacechowane gniewem i okrucieństwem. Spostrzegł długi język, sięgający niemal do brzucha, i ostre kły, wyłaniające się spod zmysłowo pełnych i kształtnych warg. Kilkoro rąk bóstwa dzierżyło sierpy, a wokoło widać było odcięte ludzkie głowy. Na brzegach płyty umieszczono płomienie, tak jakby chcąc zasugerować, że istota ta przychodzi w towarzystwie ognia, pożogi i zniszczenia. Nagle między oczyma bóstwa spostrzegł jakiś czerwony błysk. Obszedł sarkofag i przyjrzał się lepiej swojemu odkryciu. Był tak zaaferowany, że niemal przestał zwracać uwagę na otoczenie. Wyjął z pochwy ostry wojskowy nóż i ostrożnie podważył sporych rozmiarów kamyk. Wydłubał go, wziął do ręki i przyjrzał się uważnie. Kamyk skrzył się i wyglądał jak zakrzepła krew. Rubin?

Znalezisko zelektryzowało go. Nikt nie ozdabia sarkofagu rubinami, jeśli w środku nie ma czegoś cennego. Naparł więc z całych sił na ciężką płytę, natężył wszystkie mięśnie i z wielkim wysiłkiem odsuwał ją centymetr po centymetrze. Nagle do jego uszu dobiegł cichy szelest. Mogło to być cokolwiek. Zamarł na chwilę, starając się dosłyszeć coś więcej niż tylko łomotanie własnego serca. Mimo chłodu pot ściekał mu z czoła grubymi kroplami. Pomyślał o Andrieju. Może był tuż za jego plecami, unosił bagnet, przygotowując się do zadania niespodziewanego ciosu. Może chciał go zabić... Odwrócił się gwałtownie, skierował latarkę w mrok. Najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Snop światła zatapiał się w ciemności, nie znajdował żadnego oparcia. Dymitra opanowała naraz irracjonalna, atawistyczna obawa, że ciemność jest bezkresna, że utonie w niej jak w morzu. Otrząsnął się jednak, odwrócił i znów z całych sił naparł na pokrywę. W środku mogła się znajdować fortuna. Udało mu się już przesunąć płytę o dobre kilkadziesiąt centymetrów, postanowił więc zajrzeć do środka.

Przysunął blisko twarz i przyświecił sobie latarką. To, co ujrzał, sprawiło, że jego serce przyśpieszyło jeszcze bardziej. Nie bał się trupów, nie bał się walki. Widział już w swoim życiu wielu martwych ludzi. Przerażeniem napełniło go przesłanie, jakie niosło ze sobą makabryczne znalezisko — wewnątrz sarkofagu znajdowały się bowiem ludzkie zwłoki, spoczywające w pełnej rozpaczliwej pozie. Zupełnie jakby śmierć zwolniła migawkę aparatu fotograficznego, zatrzymała dla tego człowieka czas właśnie w momencie jego pełnej bólu agonii. Nadpalona czaszka wydawała się rozwarła od

krzyku. Puste oczodoły wpatrywały się w twarz Dymitra. Wyciągnięta ręka końcami palców dotykała jeszcze krawędzi sarkofagu, jakby zatrzymana w geście rozpaczliwej obrony, walki lub ucieczki. Rozpoznał radziecki mundur, choć w wielu miejscach rozdarty był na strzępy. Nagle zrozumiał. To Andriej! Cofnął się przerażony. Co tu się stało? Czemu jest w sarkofagu? Co go tutaj przywlokło? Pozostał zaledwie sam szkielet i ścięgna. Wyglądało to jak, jakby coś wyssało z niego życie, krew, i zmumifikowało swoją ofiarę do takiej postaci. Cóż to jednak mogło być? Jakaś żrąca substancja, może gaz, a może wstrzyknięty do żył jakiś chemiczny związek. Może jakaś łatwopalna substancja?

Należało jak najszybciej uciekać z tego przekłętego miejsca i powiadomić o wszystkim Ulianowa. Odwrócił się i właśnie wtedy posłyszał odgłos, który momentalnie zmroził mu krew w żyłach. Suchy szelest dobiegający z wnętrza sarkofagu, gdzie najwyraźniej znajdował się jeszcze ktoś inny. Było jednak za późno, by zrobić cokolwiek. Coś pochwyciło go za tchawicę, kościste palce wbiły się w jego gardło, odbierając oddech. Poczul rozdierający ból w trzewiach, ktoś rozrywał, rozszarpał jego wnętrzności. Z przerażeniem uświadomił sobie, że ogarniają go płomienie. Płonął cały niczym żywa pochodnia.

„Jestem w piekle — pomyślał. — Umieram, ponieważ nigdy nie powinienem tu wchodzić”.